

OTCHŁAŃ
ZAPOMNIANYCH

Katarzyna Kuśmierczyk

OTCHŁAŃ ZAPOMNIANYCH

Jegliniszki, lipiec 2024

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Wydawnictwo:

KDSystem

wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:

Bożena Sigismund

Janusz Sigismund

Skład i przygotowanie do druku:

Adrian Szatkowski

Druk i oprawa:

Sowa sp. z o.o.

ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno

www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-971627-2-3

*Tym – których wołania
nikt nie usłyszy...*

Wszystkie postacie i wydarzenia
opisane w powieści są fikcyjne.

Prolog

Kapryśne, suwalskie lato nie było oczywiste. Skradało się po cichu, jawnie drwiąc ze spragnionych ciepła ludzi. Kiedy tylko słońce skrywało się za horyzontem, chłodne wieczory i lodowate noce nie dawały za wygraną, przeganiając zziębniętych turystów do wynajętych kwater.

Najpierw zmienił barwę świt – z niebiesko-malinowej przestoczył się w soczystą kulę pomarańczy wyłaniającą się zza widnokregu. Wieczorny ziąb stawał się coraz mniej dotkliwy, żeby nagle rozkrzyzczyć się cykaniem świerszczy i spowić zapachem maciejki rozsianej przy przydrożnych płotach.

Tak! Lato w końcu nadeszło i zapowiadało się wspaniale. Łąki falowały setkami kwiatów we wszystkich odcieniach tęczy, upajając ciężkim zapachem, od którego kręciło się w głowie. Owady bzyczały, pracowicie zbierając nektar na zimę, a ptaki wyśpiewywały swoje miłosne trele. Sielanka w czystej postaci trwała, głusząc wszelkie oznaki nadciągającego kataklizmu.

Bo zło nadal tu mieszkało. Nad samą ziemią, nisko kłębiąc się i płożąc, unosił się jego stęchły, mdlący zapach. Ledwie wyczuwalny, ulotny, rozpoznawany tylko przez wytrawnych znawców, sącząc jad w pola i dusze ludzkie.

Czy okoliczni mieszkańcy czuli go już wcześniej i właśnie dlatego unikali „przekłętego uroczyska”?

A może to czas ukrył znaki zwiastujące nieszczęście, czekając na właściwy moment i ludzi, którzy nie będą bali się spojrzeć w otchłań zapomnianych?

Albo tylko ja nie potrafiłam ich rozpoznać...

CZĘŚĆ PIERWSZA

TERAŻNIEJSZOŚĆ – LIPIEC

I.

Znużona, zamknęłam laptopa i zmrużyłam oczy, kierując twarz w stronę ciepłych promieni słonecznych. Gdzieś z tyłu głowy słyszałam rozkazujący głos: „Musisz to dzisiaj dokończyć!”. To mój zdezorientowany lenistwem umysł wysyłał sygnały, żebym przestała się objąć i natychmiast wracała do pracy. Jednak tym razem konsekwentnie ignorowałam go, skupiając się na potrzebach przestrzeni serca, a ono podpowiadało mi, że powinnam chłonąć każdą sekundę tej wyjątkowej i niepowtarzalnej chwili.

A było co chłonąć! To był pierwszy naprawdę gorący dzień nieśpiesznie budzącego się suwalskiego lata. Nagrzane powietrze drgało delikatnie, falując wszystkimi barwami tęczy, odbijającymi się od lekko zmarszczonej tafli jeziora. Łąka przyzywała feerią barw, dźwiękami setek owadów, oszałamiającym zapachem ziół i kwiatów polnych. Las tętnił świergotem ptaków, z których na pierwszy plan przebijał się głos kukułki. Na cyplu spacerowały żurawie, a z gniazda nad domem Hanki dochodził klekot bocianów, zupełnie nieświadomych ogromu tragedii, jaka wiosną rozegrała się na tym podwórku.

– Ku-ku, ku-ku, ku-ku... – Zadrzałam, kiedy głos ptaka rozszedł się po wodzie. – Ku-ku, ku-ku – natarczywie powtórzyło echo.

Wzięłam głęboki wdech, wciągając do płuc ciepłe, świeże powietrze i ponownie otworzyłam oczy. Nie wiem, czy istniał

raj, ale gdyby ktoś się pytał, to tak wyglądała moja definicja edenu.

Mój dom, moja łąka, moje jezioro, a nawet mój pomost... Czy można chcieć czegoś więcej?!

Wyciągnęłam się wygodnie na leżaku i już wiedziałam, że żadna siła nie zmusi mnie, żebym przed wieczorem wróciła do audytu.

Za moimi plecami cicho zaskrzypiały deski pomostu, Nuka natychmiast czujnie podniosła łepkę i zainteresowaniem obserwowała zbliżającą się osobę. Nawet nie chciało mi się odwracać, skoro nie szczeka, to pewnie Jakub, nikt inny nie wiedziałby, gdzie mnie szukać.

– Yhm, yhm... – przybyły chrząknął, stając za moim leżakiem.

– Co tam? – Nadal nie zamierzałam rezygnować z widoku jeziora i otulającego mnie ciepła, tym bardziej że byłam na niego obrażona.

– Dzień dobry – wymamrotał męski, lekko zachrypnięty głos.

– Dzień dobry – odpowiedziałam odruchowo i w tej samej chwili dotarło do mnie, że nie brzmiał znajomo. Jak poparzona zerwałam się z leżaka, próbując w pośpiechu wbić się w sukienkę. – Co pan tu robi? To teren prywatny – burknęłam niegrzecznie, kiedy w końcu udało mi się wydostać głowę z płątaniny ramiączek.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. To zdecydowanie nie był mój Borewicz. Za młody, za barczysty i za... hmm... przystojny.

Musiał być ode mnie jakies dziesięć lat młodszy, a do tego wysoki, wysportowany, z falującymi na wietrze kruczoczarnymi

włosami i niezwykłym spojrzeniem. Jego tęczęwki były w różnych kolorach, lewa intensywnie niebieska, o lodowym odcieniu, a prawa zielona, przechodząca w turkus. Teraz te dziwne oczy spoglądały na mnie z zainteresowaniem i lekkim zaskoczeniem.

– Jan Grigas – niespodziewanie wyciągnął rękę. – Od wczoraj jestem pani sąsiadem. I bardzo przepraszam za to najście, ale dojrzałem panią z drugiego brzegu jeziora – machnął w kierunku miejsca, w którym całkiem niedawno znalazłam zwłoki Hanki – i pomyślałem, że to dobra okazja, żeby się przedstawić – patrzył na mnie wyczekująco.

– Matylda Ryster – podałam mu dłoń. – Sąsiadem? A konkretniej to jak bliskim sąsiadem? – W myślach zrobiłam błyskawiczny research otaczających mnie domostw i poczułam ukłucie niepokoju.

Nie odpowiedział od razu. Przekrzywiając lekko głowę, wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby zastanawiając się nad moim pytaniem. Przez chwilę miałam wrażenie, że w tych kolorowych, szklistych oczach jest coś mrocznego i niepokojącego, ale odczucie znikło w chwili, kiedy uśmiechnął się szeroko.

– Chyba najbliższym – odpowiedział. – Wczoraj kupiłem to siedlisko – wskazał dom Pobiażynowej. – Cena była bardziej niż okazjna, a ja od dawna szukałem czegoś w tej okolicy...

Teraz ja gapiłam się na niego, nie mogąc wydusić słowa. Wiedziałam, że wcześniej czy później ktoś kupi tę ziemię, jednak do tej pory potencjalni chętni rejterowali, kiedy tylko dowiadywali się o ponurych losach poprzednich właścicieli. Czyżby jemu nikt nie powiedział?

– ... i dlatego nie przejmowałem się głupimi uprzedzeniami. Bo co mają jakieś morderstwa z przeszłości do tu i teraz? – Jednym zdaniem zdusił w zarodku moje rozważania. – Tylko skorzystałem na tej makabrycznej historii. – Znowu się roześmiał, a ja pomimo gorąca, poczułam na rękach gęsią skórkę. Najwyraźniej trafił mi się pragmatyk, mocno stąpający po ziemi, ale ten jego trzeźwy osąd, z niewiadomych przyczyn, niepokoił mnie i budził odrazę.

– No tak... – Staralam się ukryć zakłopotanie. – To kiedy pan się wprowadza? Pewnie najpierw będzie jakiś gruntowany remont? Trzeba pozbyć się demonów przeszłości – wymknęło mi się, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Właściwie to już się wprowadziłem. – Kompletnie zignorował mój komentarz. – Przed chwilą przywieźli moje rzeczy i wyszedłem rozejrzeć się po okolicy, bo nie miałem okazji zobaczyć siedliska w realu. Widziałem tylko zdjęcia w necie i krótki film, który przesłał mi pośrednik z biura nieruchomości.

– Jak to? – Nie wiem czym byłam bardziej zszokowana faktem, że zdecydował się z marszu wprowadzić do domu, w którym przez lata mieszkało zło, czy też tym, że nabył go na podstawie kilku fotografii.

Prawdę powiedziawszy nie byłam lepsza. Sama kupiłam przekłete siedlisko, w którym w tajemniczych okolicznościach znikali ludzie. Ale ja nie miałam pojęcia o mrocznej przeszłości tej ziemi, a i moja wiedza ezoteryczna była wówczas na poziomie rozwoju intelektualnego rozwielitki. Doświadczenia z ostatnich miesięcy i ciągłe pranie mózgu, uprawiane przez moją „magiczną” przyszlą bratową Drogomiłę, sprawiły, że mieniłam się samozwańczą ekspertką od duchów, tajemnic i spraw

niewyjaśnionych, a moje nowe „ja” jakoś nie rezonowało z punktem widzenia przyszłego sąsiada.

– No normalnie! – Patrzył na mnie równie zaskoczony, chyba nie końca rozumiejąc o co mi chodzi. – Wniosłem pudła, zresztą za wiele to ja tego nie miałem, bo w domu zostały wszystkie meble i wyposażenie – ponownie na pierwszy plan wysuwał się jego racjonalizm i praktyczność – i wyszedłem obejrzeć okolicę. – Tłumaczył mi jak małemu dziecku.

– I tak pan będzie mieszkał? – Sama nie wiem po co drażyłam temat, ale widmo pokutujących dusz: Leokadii, Hanki i Anieli, nie dawało mi spokoju.

– Na razie tak – pokiwał głową z entuzjazmem. – Większość remontów zamierzam przeprowadzić sam, wie pani, trzeba ograniczać koszty. Zresztą dom jest w naprawdę dobrym stanie i dużo lepiej wygląda w środku niż na zewnątrz. Była tam pani kiedyś? – Nagle zmienił temat rozmowy.

– Nie – zaprzeczyłam gwałtownie, bo dom Pobiażynów był jednym z ostatnich miejsc, które chciałam odwiedzić.

– No to zapraszam! – Rozpromienił się mój rozmówca. – Spodoba się pani, to prawdziwa suwalska chata z duszą i klimatem. Dzisiaj to już może nie, bo jeszcze się nie rozpakowałem, ale jutro? To co, na kawę? Na studiach dorabiałem w klubie jako barista. – Zachęcał z entuzjazmem.

– Dziękuję za zaproszenie, na pewno kiedyś się umówimy. Niestety jutro nie będę mogła, muszę skończyć audyt. – Jak zwykle wykręcałam się pracą, ale nie uśmiechała mi się wizyta w domu pełnym wspomnień po Hance, szczególnie, że ta „dusza” zabrzmiała dla mnie dość dosłownie. – I przepraszam, ale muszę się zbierać – zaczęłam składać swoje rzeczy do torby – za

chwilę mam ważną rozmowę. – Wymownie spojrzałam na zegarek, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

– Zatem do później. – Mój rozmówca przesunął się, ustępując mi miejsca na wydeptanej wśród zarośli ścieżce.

– Tak, do później – zgodziłam się, próbując zapiąć smyczk małej zdrajczynie, która machając wesoło ogonem, kręciła się wokół niego z patykiem.

Byłam już w połowie drogi do domu, kiedy usłyszałam wołanie:

– Pani Matyldo! – Niechętnie odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam z wyczekiwaniem. – Czy mógłbym czasem skorzystać z pani pomostu? Trochę to potrwa, zanim dorobię się swojego.

Aż mnie zatkało z wrażenia. Co za bezczelność! Nie zdążył się na dobre wprowadzić i pcha się na cudzy pomost! Sama jeszcze nie miałam okazji się nim nacieszyć, skończyli go raptem dwa tygodnie temu, a już jakiś przyjezdny próbuje go zawłaszczyc.

– No cóż... może jakoś się podzielimy... – wydukałam wbrew sobie, chociaż wcale nie miałam ochoty na jego obecność.

Zdawałam sobie sprawę, że zgodnie z prawem pomost nie stanowi mojej wyłącznej własności, mimo że stoi na mojej ziemi i ja za niego zapłaciłam, ale na szczęście, po niedawnej zmianie przepisów, to właściciel decydował, kto na nim przebywa i mógł wyprosić każdego intruza. Tylko że mój nowy znajomy właśnie próbował zalegalizować swoje prawo pobytu.

– ...oczywiście jeżeli nie będzie pan nadużywał mojej gościnności – dodałam, odwracając się w stronę domu, zirytowana, że nie potrafiłam mu odmówić i dumna, że mimo wszystko próbowałam wyznaczyć granice.

Jakoś nie mogłam sobie znaleźć miejsca po tym spotkaniu. Myśl, że facet wprowadził się z marszu, pomiędzy rzeczy zupełnie obcej rodziny i prawdopodobnie będzie spał w łóżku zamordowanej kobiety, nie dawała mi spokoju.

Koniecznienie chciałam z kimś pogadać, ale wiedziałam jaka będzie reakcja Michała. Przecież chciał kupić to siedlisko, a ja się kategorycznie nie zgodziłam, więc albo mnie zbeszta za wyolbrzymianie problemu i wtrącanie się w nieswoje sprawy, albo stwierdzi, że mam co chciałam.

Nie, mój brat zdecydowanie mnie nie zrozumie, zresztą jest teraz pochłonięty remontem domu w Żabojadach i przygotowaniem do wrześnieowego ślubu z Dagą, więc powinnam im raczej schodzić z drogi. A szkoda, bo Drogomiła była drugą osobą, o której pomyślałam w kontekście wprowadzenia się mojego nowego sąsiada.

Hubert, niestety, też odpadał. Po sukcesie brukselskiego reportażu dostał propozycję pracy stałego korespondenta i chyba na dobre utknął w Belgii, pozostawiając w Szelmencie, nieutuloną w żalu, Mariolę. Zafascynowany nowym życiem, karierą i wielką Europą, dzwonił coraz rzadziej, a na bieżąco wysyłał mi już tylko zdjęcia i linki do swoich tekstów.

Teoretycznie mogłabym pogadać z Jakubem, ale na rozmowę z nim z kolei ja nie miałam ochoty. Od jakiegoś czasu nie potrafiłszy się porozumieć, kłócąc się praktycznie o wszystko, a po naszej ostatniej sprzeczce „o nic”, wypadł z mojego domu wściekły i od trzech dni się nie odzywał. Nie potrafiłam znaleźć przyczyny tej jego nagłej odmiany, ale też nie zamierzałam się

pierwsza do niego odezwać. O co to, to nie! Poradzę sobie bez niego!

Czyli pozostaje skarbnica lokalnych informacji – pani Zosia. Nie zastanawiając się dłużej, wrzuciłam do torby portfel i wskoczyłam na rower.

* * *

Odkąd tylko zrobiło się ciepło, odstawiłam do garażu swoje zaprawione na suwalskich bezdrożach auto i każdą wolną chwilę spędzałam na rowerze. Ten prezent od Jakuba był jedną z najfajniejszych rzeczy, jakie dostałam w życiu. Od lat nie siedziałam na żadnym jednośladzie, a teraz pokochałam wycieczki rowerowe. Pomijając wyjątkowe okoliczności przyrody, nawet nie przypuszczałam, że sama jazda może sprawiać taką frajdę, dając poczucie beztronski i wolności.

I teraz nie było inaczej, niedawno wyrównana szutrówka zółciła się w słońcu, zachęcając do szalonych zjazdów z każdej kolejnej górki. Ciepły wiatr rozwiewał mi włosy, bociany w przydrożnych gniazdach czujnie wodziły oczami, sprawdzając czy nie zbliżam się zanadto do ich królestwa, a krowy, mijane na przydrożnych pastwiskach, spoglądały na mnie znudzone, spokojnie żując soczystą trawę.

W ciągu kilku minut dotarłam do sklepu w Smolnikach i wbiegłam po znajomych schodach.

– Dzień dobry! – rzuciłam w bliżej nieokreśloną przestrzeń, bo miejsce za ladą świeciło pustką.

– Dzień dobry – odpowiedział z zaplecza dobrze mi znany głos, a już po chwili wyszła stamtąd siwa jak gołąbek filigranowa staruszka taszcząca skrzynkę z ogromnymi, prawie czarnymi, czereśniami. – Matyldzia! – Ucieszyła się na mój

widok pani Zosia. – Już myślałam, że się obraziłaś na nasz sklep. Chyba z miesiąc ciebie nie było – dodała z wyrzutem.

– Nie obraziłam, tylko Kuba zawsze przywoził zakupy z Suwałk, więc jakoś się nie składało – stwierdziłam zgodnie z prawdą.

– A teraz nie przywiózł? – Pani Zosia zsunęła z nosa rogowe okulary i przyglądała mi się badawczo.

Starsza pani była mistrzynią w wyciąganiu informacji, a w takich małych miejscowościach sklep nadal był centralnym punktem ich wymiany. Ale w moim przypadku chodziło o coś więcej. Pani Zosia była jedną z niewielu osób, z którymi się tutaj zbliżyłam. Nie tylko zostawiała mi lokalne przysmaki, wpadałam do niej na ciasto i miejscowe ploteczki, ale też czasami zwierzałam się z kłopotów. Mówiła, że jestem dla niej jak córka, której zawsze pragnęła, i rzeczywiście tak mnie traktowała.

– No nie przywiózł – zaczęłam nabierać czereśni do woreczka. – Chyba się obraził – dodałam niechętnie.

– Obraził? – W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie. – Dziecko, przecież on jest w ciebie zapatrzony jak w jakiś święty obrazek – westchnęła ciężko moja rozmówczyni. – Nie widzisz tego?

– Kuba?! We mnie? – Spojrzałam na nią zaskoczona. – Nie sądzę, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. On nigdy... – przerwałam, bo nagle zdałam sobie sprawę, że sprzedawczyni może mieć rację.

Wprawdzie ja zawsze traktowałam Niewiadomskiego jak najlepszego kumpla, który czasem nocował u mnie, gdy się zagadaliśmy lub późno wróciliśmy ze wspólnego wypadu, ale nasza ostatnia kłótnia rzeczywiście zaczęła się, kiedy

opowiadałam o przemianie Huberta. Sympatyczny skądinąd Redaktor, nagle zaczął obsesyjnie dbać o swoje ciało i styl, zupełnie już nie przypominając trochę roztargnionego i misiwatego faceta z początku naszej znajomości, a przeobrażając się w prawdziwego łamacza serc niewieścich, co nie wiedzieć czemu irytowało Borewicza.

– No właśnie – skwitowała krótko, właściwie odczytując moją nagłą zmianę wyrazu twarzy. – A wiesz, że popytałam trochę o niego? Znajomy policjant z Gulbieniszk mówił, że to bardzo porządny człowiek. I niepijący! – To ostatnie dodała z nabożnym podziwem.

– Z Gulbieniszek – rozkojarzona, poprawiłam ją niezbyt grzecznie.

– Z Gulbieniszk! – Powtórzyła z uporem. – Tak się u nas od zawsze mówi.

– Ale przecież nazwy miejscowości odmienia się przez przypadki jak rzeczowniki. – Zamiast skończyć dyskusję, z rozpędu zaczęłam wykład z fleksji.

– Ja tam nie wiem, jak się odmienia – nastroszyła się starsza pani – ale jak świat światem mówiło się Gulbieniszk, Ługiel czy Jegliniszk! Po tym poznać przyjezdnych, że nie po naszymu gadają.

Już na końcu języka miałam kolejne polonistyczne mądrości, ale tym razem w porę się w niego ugryzłam. Nie przyszłam tu po to, żeby zgłębiać odmianę regionalną, którą zresztą zamierzałam sprawdzić po powrocie do domu. Teraz miałam ważniejsze sprawy na głowie.

– Widać nadal jestem przyjezdna i muszę się wiele nauczyć – stwierdziłam, próbując obrócić niezręczność w żart. – A wie pani, że ktoś kupił siedlisko Hanki? – zmieniałam temat.

– Ano słyszałam – pokiwała potakująco głową. – Mówili, że jakiś warszawiak przez pośrednika z Suwałk kupił. Pewnie teraz remonty będzie robił. Najpierw kupują chatę, a potem burzą i wymyślne pałace budują... – sarknęła niezadowolona.

– No właśnie, że nie będzie! – przerwałam jej podekscytowana. – On się dzisiaj wprowadził, przed chwilą go poznałam. Wszystkie swoje rzeczy przywiózł i wniósł do domu!

– Co ty mówisz, Matyldziu? Jak to wprowadził? Tak po nieboszczce? – Pani Zosia nie mogła się nadziwić. – Przecież chałupę sprzątnąć trzeba, odmalować, graty wyrzucić... – wyliczała. – Nikt tam od śmierci Hanki nie zaglądał. Ta jej kuzynka, co po niej dziedziczyła, formalności przez biuro załatwiała, nawet nie chciała tu przyjechać, więc wszystko zostało jak za życia biedaczki.

– No właśnie! – potwierdziłam gorliwie. – Przecież nawet jej osobiste rzeczy tam zostały, nie wiem jak on tak będzie mieszkał? – Na tym polu świetnie się rozumiałyśmy.

– Dobrze, że przynajmniej czterdzieści dni odczekał – mruknęła pod nosem, przywołując ludowy przesąd, głoszący że w czasie czterdziestu dni po śmierci dusza zmarłego pozostaje na ziemi – bo razem mieszkaliby w tej chałupie. A jaki jest? – Nie potrafiła ukryć zaciekawienia.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Taki jakiś zwyczajny, sympatyczny nawet. Tylko... – zawahałam się.

– Tylko co? – Natychmiast podchwyciła moja rozmówczyni.

– Tylko oczy ma jakieś dziwne, jedno niebieskie, drugie szafirowe, ale takie przeźrocyste jak woda, a chwilami jak lód zimne. Aż skóra cierpnie. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam i zrobiło mi się głupio w chwili, kiedy wyrzuciłam z siebie te słowa. – Zresztą to pewnie tylko pierwsze

wrażenie – dodałam zachowawczo. – Nigdy nie widziałam takich oczu.

Pani Zosia przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu, jakby analizując to, co przed chwilą powiedziałam. Dobrze, że w sklepie nie było innych ludzi, bo jednym nieprzemyślanym zdaniem mogłabym zrobić człowiekowi krzywdę. Tutaj plotki i uprzedzenia szybko się rozchodziły a udowodnienie, że były nieprawdziwe, graniczyło z cudem.

– Może i tak być – przyznała ostrożnie moja rozmówczyni. – Ale ty ludzi dobrze wyczuwasz. Masz do tego dar, dziecko. – Podała mi paragon i pomogła włożyć sprawunki do torby. – A wiesz, że siedlisko po Anieli też już sprzedane?

– Coo?! Kiedy?! – Puszka z kukurydzą wypadła mi z rąk i potoczyła się z głośnym stukiem pod regał. – Nawet nie wiedziałam, że jest na sprzedaż. – Z trudem wydobyłam puszkę. – Kto go kupił?

– Ano nikt tego nie wie! – Na twarz pani Zosi wypełił grymas niezadowolenia, jakby ta niewiedza była czymś uwłaczającym. – Nawet nie bardzo wiemy, kto to dziedziczył, bo Anielka miała tylko starą ciotkę, która jakiś czas temu odeszła. – Pomimo że moja zmarła sąsiadka okazała się potworem, pani Zosia nadal mówiła o niej jak o małej, grzecznej dziewczynce. – Będzie ze dwa dni, jak przyjechali jacyś ludzie i zapakowali cały dobytek na ciężarówkę. Akurat Dzierdziakowa jechała tamtędy do krów. Dojrzała, że samochód stoi i obcy się kręcą, to i poszła zapytać, co się dzieje. No i powiedzieli jej, że dom i ziemia sprzedane, a oni tylko mają polecenie wyczyszczenia chałupy.

– A czemu nie spytała kogo? – Zniecierpliwiałam się.

– Spytała – sapnęła starsza pani – ale powiedzieli, że oni tylko od przeprowadzki są i nic ich nie obchodzi, kto tu mieszkał będzie...

Obie podskoczyłyśmy, kiedy zadźwięczał dzwonek, sygnalizując wejście klienta. Pożegnałam się z wymuszonym uśmiechem i próbując jakoś poukładać w głowie nowe wiadomości wsiadłam na rower.

* * *

Do domu wróciłam w zdecydowanie gorszym nastroju niż wyjechałam. Niby nic się nie wydarzyło, a czułam w okolicy serca dziwny niepokój i ucisk. To, co usłyszałam w sklepie wcale mi się nie spodobało. Przez tyle dni nikt się nie interesował ziemią po nieboszczkach, a tu nagle w tym samym czasie ktoś kupuje oba siedliska. I jeszcze to przedziwne osiedlenie. Nadal nie mogłam pojąć, jak on tam będzie mieszkał, musiał być kompletnie pozbawiony emocji i wyobraźni.

Kilkanaście minut stałam na tarasie, gapiąc się w stronę chałupy Hanki, a właściwie teraz to Jana.

Zaraz! A może ten cały Grigas kupił również dom Anieli?! – Na samą myśl poczułam jak puls mi przyspiesza i robi mi się gorąco. Coraz mniej podobał mi się mój nowy sąsiad!

Wyteżyłam wzrok, próbując dojrzeć cokolwiek w skrytym za lasem obejściu. Wiedziałam, że nawet za dnia niewiele byłoby widać, a co dopiero w mroku spowijającym całą okolicę. Pomimo to, nie potrafiłam ruszyć się z miejsca, zupełnie jakby coś mnie ciągnęło w stronę okrytego niesławą siedliska.

Nagle do moich uszu dobiegł dziwny, lekko mechaniczny i powtarzający się dźwięk. Próbowałam zlokalizować jego źródło,

ale dochodził z bliżej nieokreślonego miejsca, zupełnie jakby mnie okrążał. Narastał z każdą chwilą, świdrując w uszach tak mocno, że niemal czułam jak powietrze dookoła mnie lekko drży i faluje.

W tej samej sekundzie uświadomiłam sobie, z czym kojarzy mi się ten pogłos – to musiał być łopot skrzydeł, a towarzyszyło mu coś, co przypominało ni to pisk, ni isticie diabelski chichot niosący się w ciemności. Brzmiał upiornie i czułam, jak huczy w mojej głowie nie pozwalając zebrać myśli.

Odsunęłam się instynktownie i w tej samej chwili poczułam chłodny powiew na policzku. Kątem oka zarejestrowałam jakieś ciemne, duże stworzenie, które prawie się o mnie otarło.

W jednej chwili przeleciały mi przed oczami wszystkie koszmary, z jakimi miałam do czynienia przez ostatnie pół roku. Serce waliło mi tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

– Matko kochana, co to było? – jęknęłam półgłosem i nie czekając na dalszy rozwój wypadków, natychmiast cofnęłam się do domu, zatrzaskując szczelnie drzwi tarasowe.

Ochłonęłam dopiero, kiedy rozbłyły żarówki, zalewając salon falą żółtego światła i rozpraszając mrok czający się na tarasie. Ale tej nocy długo nie mogłam zasnąć, a moje rozgorączkowane myśli ciągle wracały do sceny, jaka rozegrała się na werandzie.

II.

Obudził mnie bliżej nieokreślony hałas. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałam, co się właściwie dzieje, mój umysł nadal był w objęciach Morfeusza, ale zmysły rejestrowały dźwięki, których nie powinnam słyszeć.

Usiadłam na łóżku zdezorientowana, może to była część snu, którego nie pamiętam? Ale odgłosy dochodzące z dołu były jak najbardziej realne i całkiem głośne. Wskoczyłam z pościeli, złapałam po drodze szlafrok i ile sił w nogach popędziłam na dół.

Już w połowie drogi wiedziałam, że mogę przestać się spieszyć. Po całym domu rozchodził się smakowity zapach smażonego boczku, a takie śniadanie oznaczało, że w kuchni szarogęsił się albo Michał, albo Borewicz.

Tego pierwszego skreśliłam, mój dobrze wychowany brat niezwykle rzadko pojawiał się bez uprzedzenia, czyli to mój ulubiony Komisarz powrócił.

Ostrożnie wsadziłam głowę do kuchni i przez chwilę bezczelnie gapiłam się na krzątanicę Jakuba. Jedną ręką mieszał obłędnie pachnące skwarki, drugą nalewał do kubków aromatyczną kawę, do głowy by mi nie przyszło, że da się to robić równocześnie. Na stole leżały moje ulubione pełnoziarniste bułki, obok stał talerz z jagodziankami, a na desce leżał pokrojony ser, pomidor, szczypior i papryka. Uhu! Szykowała się prawdziwa uczta!

– Cześć. Wstałaś już? – przywitał się mój kucharz, chociaż był odwrócony do mnie plecami.

– Cześć – wymamrotałam zdziwiona i dopiero wówczas mnie olśniło. Prawie uwierzyłam w jego nadzwyczajne zdolności, kiedy dotarło do mnie, że odbijam się w przeszklonej szafce kuchennej zawieszanej na wprost wejścia. – A cóż to za smakowita niespodzianka? Czym sobie zasłużyłam? – Kpiłam, chociaż w głębi duszy cieszyłam się ze śniadania, a jeszcze bardziej z tego, że w końcu przyjechał.

– Chciałem trochę pobyc sam i coś przemyśleć – odwrócił się w moją stronę i spojrzał mi w oczy. – A śniadanie to moje małe zadośćuczynienie za to, że się ostatnio nie odzywałem. – Podał mi kubek z parującą kawą.

– I co wymyśliłeś? – Wbiłam wzrok w czarny jak smoła płyn pachnący wanilią i kardamonem.

– Nic, bo mi nie dali – westchnął ciężko, a ja dopiero zauważyłam jak bardzo jest zmęczony. – Od trzech dni miotamy się ze śmiercią młodego chłopaka. Sam już nie wiem czy to morderstwo, czy samobójstwo, nic się tam kupy nie trzyma. A do tego to syn znanego europośła, który przyjechał tu na wakacje, więc wszystkich kryminalnych postawiono na nogi...

– Opowiadaj! – zażądałam, nie potrafiąc opanować ciekawości.

– Nic z tego! Po pierwsze wiesz, że to tajemnica śledztwa, a po drugie siadamy do śniadania. – Uciał stanowczo, wbijając jajka na patelnię.

* * *

Godzinę później wygrzewaliśmy się na tarasie, Nuka jak szalona biegała za motylami, a z woliery przyglądał się jej z ciekawionym Felix. Po chwili jednak uznał, że zagon kocimiętki specjalnie dla niego posadzonej jest bardziej interesujący niż wygłupy średnio rozgarniętego psa i odszedł obrażony z wysoko uniesionym, rudym ogonem.

Po raz kolejny przyszło mi do głowy, że tak wygląda prawdziwe szczęście, szczególnie że niespełna rok temu siedziałam w ponurym pomieszczeniu, szukając luk i nieprawidłowości w stosach nudnych dokumentów. Zamiast tego teraz gapiałam się na odcięty linią jeziora pagórkowaty krajobraz, siedząc u boku sympatycznego faceta, a w perspektywie mając cudowny dzień, pełen słońca i radości.

Ale gdzieś, wewnątrz mnie, w najbardziej skrytym kawałku duszy, mieszkał lęk i niepewność, które nie pozwalały mi cieszyć się w pełni tym, co miałam. Instynktownie czułam, że to wszystko jest zbyt kruche i ulotne, żeby mogło trwać wiecznie. No i do tego jeszcze te nocne strachy.

– Nie będziesz się śmiać? – Moje pytanie przerwało sielankowy koncert odgłosów natury, ale wydarzenia wczorajszej nocy wciąż nie dawały mi spokoju.

Jakub otworzył półprzymknięte oczy i spojrzał na mnie z ciekawieniem.

– Jak tak zaczynasz, to nie chce mi się śmiać, tylko już się boję – zażartował. – Mów.

– Wczoraj poznałam mojego nowego sąsiada... – w kilku zdaniach zrelacjonowałam mu szczegóły tej osobliwej znajomości, dokładając informacje przywiezione ze sklepu. – ...i jak tak stałam wieczorem na tarasie, to nagle coś zaczęło trzepotać skrzydłami, a potem usłyszałam taki trzeszcząco-

piszczący chichot... – widziałam jak zdziwiony podnosi prawą brew. Zauważyłam, że robił tak zawsze, kiedy nie dawał wiary moim opowieściom, zwłaszcza tych o duchach i rzeczach nadprzyrodzonych. – ...i coś lodowatego musnęło mnie w policzek...

– Znowu?! – Jęknął zirytowany. – Powiedz mi, czy ty nie możesz mieć normalnego życia? – Zniecierpliwiony zaczął bębnić palcami w oparcie fotela. – Co z tobą jest nie tak, że ciągle dzieją się wokół ciebie jakieś nieprawdopodobne historie? Przyciągasz to jakoś, czy co? – Denerwował się.

– Więcej ci nic nie powiem – obraziłam się, chociaż od początku przypuszczałam, że właśnie taka będzie jego reakcja.

Od pierwszego dnia naszej znajomości wiedziałam o alergii Borewicza na zjawiska nadprzyrodzone. Ten twardo stąpający po ziemi facet dostawał szału na samą myśl, że mogłabym go znowu wplątać w jakieś historie ze zjawami czy ludowymi wierzeniami, a teraz gapił się na mnie wyczekująco.

Udałam, że nie widzę jego świdrującego spojrzenia i zanurzyłam nos w laptopie. Przez chwilę znowu było słychać tylko brzęczenie owadów i trele skowronka krążącego w pobliżu.

– No i co było dalej? – Pierwszy nie wytrzymał milczenia.

– Nic – jakoś odechciało mi się opowiadać o moim strachu.
– To coś odleciało.

– „Coś”, czyli co? – dopytywał.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Wyobraź sobie, że nie miałam ochoty stać i się przyglądać – dodałam i już miałam dołożyć kilka złośliwości, ale plany pokrzyżował mi saksofon Kenny’ego G.

Komórka Jakuba wibrowała, wypływając z siebie dźwięki Hawany. Jeden rzut oka na jego zmarszczone brwi i pochmurną twarz, wystarczył żebym zidentyfikowała rozmówcę. Dzwonili z pracy!

– Co jest?... – Ton głosu Borewicza nie zachęcał do rozmowy i upewnił mnie, że telefonuje ktoś z komendy. – Gdzie znaleźli?! – Niewiadomski poderwał się z leżaka i omijając mnie wzrokiem skrył się w salonie.

Niewiele myśląc, wstałam i przysunęłam głowę do drzwi tarasowych. Stał zbyt daleko, żebym mogła posłuchać całą rozmowę, ale strzępy, które do mnie docierały nie brzmiały optymistycznie:

– Jak to w pobliżu? – Denerwował się. – Przecież sprawdzaliśmy cały teren!... Ile mogła tam leżeć?... Czyli jeszcze wcześniej niż znaleźliśmy zwłoki młodego? – Jakub wydawał się zdumiony – Jadę... Tak, jestem w pobliżu, będę za jakieś piętnaście minut – mówiąc to, zerknął na zegarek. – A! I wyniki sekcji chcę na wczoraj! Nic mnie to nie obchodzi! – Wściekły rozłączył połączenie i dopiero dostrzegł mnie wiszącą w drzwiach. – A ty długo tak stoisz? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nie, dopiero weszłam. Pić mi się chce. – Udając całkowity brak zainteresowania, przemaszerowałam do kuchni i nałapałam sobie wody. – To z pracy?

– Taa – mruknął niechętnie – muszę jechać. Znaleźli zwłoki młodej kobiety. – Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

– Stare jakieś? – Wyrwało mi się, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Czyli jednak podsłuchiwałaś – stwierdził, całkowicie ignorując moje pytanie. – Przykro mi, z naszych jutrzejszych

rowerów nici – spojrział na mnie przepaszająco. – Nie wiem, ile to potrwa, ale znowu szykuje mi się ciężka noc. Zdzwonimy się, pa – i zanim zdążyłam coś powiedzieć, niczym Michał, pocałował mnie w czubek głowy i zniknął za drzwiami.

Patrzyłam jak odjeżdża, próbując poskładać zasłyszane okruchy informacji. Jeżeli dobrze zrozumiałam, to w okolicach miejsca odnalezienia zwłok chłopaka odkryli ciało młodej kobiety, która prawdopodobnie zginęła wcześniej niż on. Na dodatek to musi być gdzieś całkiem blisko, skoro można tam dojechać w niespełna piętnaście minut!

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk telefonu.

– O proszę – uśmiechnęłam się pod nosem, spoglądając na wyświetlacz aparatu. – Wszelki duch! – zaczęłam teatralnie. – Witam gwiazdę brukselskich mediów. Czymże zasłużyłam na twoją uwagę? – Nie potrafiłam sobie odmówić odrobiny uszczypliwości.

– Cześć – usłyszałam w odpowiedzi dawno niesłyszany głos Huberta. – Nie wygłupiaj się, ale przyznaję, że mi się należało – pomimo że lekko skruszony, brzmiał charyzmatycznie i pewnie siebie. – Co u ciebie?

– A dziękuję, całkiem nieźle. Ale nie mów, że dzwonicz, żeby zapytać co u mnie słyhać. – Znowu zakpiłam i chyba celnie wymierzyłam, po drugiej stronie zapanowała chwilowa cisza. – Jesteś tam jeszcze?

– No tak – Redaktorek wydawał się trochę zakłopotany. – Masz rację, należało mi się. Przepraszam, że się nie odzywałem, ale wiesz jak to jest. Nowi ludzie, fascynująca praca, przyjęcia, ciągle coś się dzieje... – tłumaczył zmieszany.

– No wiem – potwierdziłam, chociaż nie miałam bladego pojęcia. Moja egzystencja we Wrocławiu daleka była od

światowego blichtru, a w Bieluszewie życie towarzyskie ograniczało się do cotygodniowych wizyt w sklepie i patrzenia w oczy żurawiom. – Ale mów, o co chodzi – przeszłam do konkretów.

– Pewnie już do ciebie doszło, że w Szurpiłach, w dość tajemniczych okolicznościach, utopił się syn Cebulskiego?

– Tak, coś słyszałam – potwierdziłam trochę na wyrost, łącząc śmierć chłopaka z nerwową rozmową Jakuba i próbując przypomnieć sobie skąd znam to nazwisko.

– Mirek to mój dobry znajomy – w tej samej chwili olśniło mnie, że rozmawiamy o czołowym polityku, a obecnie pośle do Parlamentu Europejskiego, jednej z wiodących partii w kraju. – Szaleje z bólu i rozpaczy, ale jest też wściekły, bo uważa, że ta wasza policja niewiele robi...

– Poczekaj – przerwałam mu stanowczo, czując się trochę urażona protekcyjnym stwierdzeniem „ta wasza policja” – ale czy ty nie powinieneś raczej z Niewiadomskim porozmawiać?

– No może i powinienem – w odpowiedzi usłyszałam gniewne sapnięcie – ale najpierw mnie zbył, za drugim razem opierniczył, że wtrącam się w nieswoje sprawy, a teraz w ogóle przestał odbierać moje telefony...

No tak, cały Borewicz! Chociaż z drugiej strony, znając docieklivość i natarczywość Huberta, nie dziwiłam się Kubie. Też nie chciałabym, żeby ktoś nie tylko wtrącał się w moje śledztwo, ale też z dużym prawdopodobieństwem próbował w nie ingerować.

– Ale w takim razie, czego oczekujesz ode mnie? – Znał Niewiadomskiego równie dobrze jak ja, więc był w pełni

świadomy, że w kwestiach zawodowych jest bardziej niż zasadniczy.

– Nie mogę się teraz stąd wyrwać, a kiedyś opowiadałem Cebulskiemu o naszych... hmm... przygodach – zająknął się speszony – i spytał mnie czy mogłabyś tam trochę powęszyć? Bardzo chciałby mieć kogoś zaufanego na miejscu.

– Powęszyć? – powtórzyłam z zaskoczeniem, nie komentując stwierdzenia, że mam być „zaufaną” faceta, z którym nigdy wcześniej słowa nie zamieniłam, a twarz znałam jedynie z telewizji i gazet. – A co dokładnie masz na myśli?

– No wiesz, rozejrzeć się, rozpytać ludzi, może z Jakubem pogadaj, przejrzyj akta, przecież mieszkacie ze sobą... – nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że w ostatnich słowach zadźwięczały nutki zazdrości. – Jest coś dziwnego w całej tej historii, a Mirek potrafi się odwdziżyć. Zresztą w przyszłym tygodniu sam przyjedzie, teraz ma ważne głosowania, których nie może odpuścić...

Przestałam słuchać. Czułam narastający ból głowy, a moje myśli wirowały jak szalone. Z niedowierzaniem spojrzałam na wyświetlacz telefonu, jakbym mogła w nim zobaczyć swojego rozmówcę. To się w głowie nie mieści! Facetowi zginął syn, a on zostaje w Brukseli, bo ma jakieś głosowania? I co to znaczy, że policja niewiele robi? Niewiadomski wygląda jak z krzyża zdjęty, wszystko podporządkował pracy, a do tego jeszcze to zjadliwe „przecież mieszkacie ze sobą”! To zdecydowanie nie był mój dawny Redaktor!

– Posłuchaj – przerwałam mu w połowie zdania. – Mogę się rozejrzeć, węszyć nie będę, a tym bardziej podpuszczać Jakuba – z premedytacją pominęłam wątek wspólnego mieszkania.

– Myślałem, że mogę na ciebie liczyć... – usłyszałam w słuchawce zawiedziony głos.

No tak, liczyć! To było kluczowe słowo. Ja na niego zawsze mogłam liczyć. Nawet wtedy, kiedy sama nie bardzo wierzyłam w to, co dzieje się wokół mnie, Hubert zawsze był obok i jako jedyny szedł tropem każdej mojej, nawet najbardziej absurdalnej i szalonej, teorii.

– OK – podjęłam decyzję – powęszę. Ale niczego nie obiecuję. Aa! I zapomnij, że będę grzebać w jego dokumentach – zaznaczyłam, chociaż wcale nie byłam tego taka pewna.

– Dzięki – głos mu poweselał – wiedziałem że mnie nie zawiedziesz.

– Na początek opowiedz mi wszystko, co wiesz. I nie próbuj kręcić, ani niczego ukrywać! Jeżeli mam ci pomóc, to muszę znać wszystkie szczegóły, nawet te które pan europoseł chciałby schować pod dywan. Sam mnie uczyłeś, że czasami z pozoru błałostka, może być kluczowa dla całego śledztwa.

– Nie musisz mi przypominać, przecież wiem... – w jego głosie nie było entuzjazmu.

* * *

Piętnaście minut później dysponowałam wiedzą nie mniejszą niż suwalska komenda, chociaż z każdym kolejnym słowem Huberta coraz mniej lubiłam rodzinę Cebulskich.

Młodzieniec miał na imię Przemysław, dwadzieścia jeden lat i studiował na III roku – jakżeby inaczej – politologii na Uniwersytecie Warszawskim. Do Szurpił przyjechał odwiedzić schorowaną babcię, która nie wykazywała chęci spisania testamentu, a była posiadaczką nie tylko starej chaty, ale i niezmiernie cennych sześciu hektarów w sercu Suwalskiego

Parku Krajobrazowego. Przemko, jej ukochany wnusio, miał skłonić babcię do przepisania mu tej ziemi, bo, poza nim, była spora kolejka chętnych do przejęcia potencjalnego spadku.

Chłopak od tygodnia siedział w Czajewszczyźnie, bez znajomych, rozrywek i z ledwie zipiącym Internetem, a tym samym, ograniczonym dostępem do social mediów, i nudził się okrutnie, coraz bardziej zły, że babka pozostaje głucha i niewzruszona na wszelkie próby zaciągnięcia jej do notariusza.

W Warszawie czekała na Przemysława beztroska paczka bogatych dzieciaków, z którymi na początku sierpnia miał lecieć na Ibizę. Nieustannie podsyłali mu zdjęcia z kolejnych klubów, a on wściekły, codziennie dzwonił do ojca, wylewając na niego swoją frustrację, ten zaś, niewzruszenie kazał mu „siedzieć na dupie” póki nie będzie miał w rękę legatu.

Nic dziwnego, że w piątkowy wieczór, po serii świeżych postów z kolejnych baletów znajomych, sfrustrowany i poirytowany chłopak wskoczył do samochodu, udając się na poszukiwania czegoś, co stanowiłoby przynajmniej namiastkę dobrej zabawy.

Ostatnim miejscem, w którym go widziano były Bulwary nad Hańczą. Szedł z niewysoką, szczupłą blondynką, popijając coś z butelki, a wszystko to zarejestrował miejski monitoring. Na tym ślad się urywa.

Dostanę wydruk z kamery, chociaż to podobno bezcelowe, bo zdjęcie nie dość, że czarno-białe, to jeszcze rozmazane. Gdyby nie charakterystyczna, ręcznie malowana, skórzana kurtka chłopaka, to i jego trudno byłoby rozpoznać.

Nic podejrzanego, niepokojącego czy rzucającego się w oczy, a to co przekazał mi Redaktorek, może i było niesmaczne, ale pospolite i niebudzące żadnych podejrzeń. Niestety część

dotycząca odnalezienia zwłok była jeszcze mniej treściwa i zachęcająca.

Ciało chłopaka wyłowili turyści wędkujący wczesnym sobotnim porankiem na jeziorze Szurpiły. Do tego czasu nikt go nie szukał. Babcia spała, pewna, że wnuk się świetnie bawi, a zamknięte auto stało zaparkowane na bocznej drodze prowadzącej do jeziora. Cebulski miał na sobie tylko spodenki, co zasugerowało śledczym, że utonął podczas kąpieli. Żadnych obrażeń wewnętrznych czy śladów walki, poza jednym głębokim zadrapaniem na prawym przedramieniu, które podobno mogło powstać, kiedy szamotał się w sitowiu, i lekko pokaleczonych stóp, tak jakby pokonał dłuższą trasę bez obuwia, co biorąc pod uwagę lokalizację samochodu, było kompletnie bez sensu. Podczas sekcji wykryto mocne substancje narkotyczne i śladowe ilości alkoholu. Tyle faktów.

Spisałam to wszystko mozolnie na kartce, próbując sobie przypomnieć czy nie przeoczyłam czegoś istotnego. Jeszcze raz przejrzałam całą listę. Hipoteza nasuwała się sama – młody mężczyzna miał fantazję popływać w jeziorze, ale był zbyt naćpany, żeby utrzymać się na wodzie... i nieszczęście gotowe. Może był sam, a może chciał się popisać przed dziewczyną, która przestraszona tym, że długo nie wypływał, uciekła? Ani tajemnicy, ani zjawisk nadprzyrodzonych, gdzie tu rola dla mnie?

Jednak Hubert miał rację, było coś jeszcze, co nie pasowało w całej tej historii. Raz, że chłopak nie tylko nie umiał pływać, ale też panicznie bał się wody. Topił się, kiedy miał niespełna dziewięć lat i od tamtej pory zanurzał się jedynie do wysokości kolan. Podobno nawet na suto zakrapianych imprezach nie zbliżał się do żadnych akwenów, a nawet basenu z ratownikiem.

Dwa, pomimo przeprowadzenia intensywnych poszukiwań, nigdzie nie znaleziono jego butów i ubrania.

A „trzy” – było najciekawsze. Hubert trochę poszperał i dotarł do statystyk utonięć w jeziorze Szurpiły. W ciągu ostatnich trzydziestu lat, doszło tam do dwudziestu jeden niewyjaśnionych zgonów, które zostały uznane za nieszczęśliwe wypadki, a dotyczyły wyłącznie mężczyzn, w większości młodych, sprawnych fizycznie i umiejących pływać. Do utonięć zwykle dochodziło w nocy, często delikwentów wyławiano kompletnie ubranych, no i działo się to w różnych porach roku, nawet zimą. Najbardziej interesujący był fakt, że część z nich nawet nie mieszkała w tej okolicy i nikt ze znajomych czy rodziny nie potrafił wyjaśnić, skąd i dlaczego znaleźli się nagle na tym zapomnianym końcu Polski.

Wszystko, do czego dogrzebał się Wroński miałam dostać w mailu.

Z niecierpliwością sprawdziłam skrzynkę. Po raz kolejny Outlook zameldował mi, że moja poczta jest aktualna. Czekaając na wiadomość otworzyłam stronę Facebooka i wklepałam Przemysław Cebulskiego. W wyszukiwarce pojawiło się kilkanaście propozycji, mimo to od razu wiedziałam, która jest właściwa.

Ze zdjęcia spoglądał na mnie uśmiechnięty blondyn z długimi, kręconymi włosami. Przyglądałam mu się uważnie. Nie nazwałabym go przystojnym, miał więcej kobiecych niż męskich cech. Idealnie wypielęgnowane loki spływały mu na ramiona, długie, wyglądające na podkręcone, rzęsy okalały intensywnie zielone oczy, a grube, mięsiste wargi rozchyłały się w lekko nieporadnym, rozbajającym uśmiechu, ukazując rząd śnieżnobiałych, równych zębów. On nie był przystojny, był

śliczny niczym cherubinek ze starych obrazów i wyglądał równie niewinnie, a pomimo to nie wzbudził we mnie odrobiny sympatii. Wyglądał na faceta, który świetnie zdaje sobie sprawę ze swoich zewnętrznych przymiotów i bez skrupułów je wykorzystuje, żeby osiągnąć nieczne cele.

Pod jego zdjęciem profilowym roiło się od kondolencji i wyrazów ubolewania. Niestety część postów była ukryta, więc poza zdjęciem w tle, przedstawiającym jakiś nowoczesny model samochodu w jaskrawożółtym kolorze, nie zobaczyłam wiele więcej. Zaczęłam więc przewijać długie rzędy zakończone czarnymi serduszkami i już miałam odpuścić, kiedy zamigotał mi wpis zupełnie nie pasujący do pozostałych: „A ja go nie żałuję!!! W końcu dostał to na co zasłużył!!! Jesteście pieprzonymi hipokrytami!!! Wszyscy widzieliście, co robił!!!” – krzyczały zdania pełne emocji.

Kliknęłam w profil autora wpisu, brak zdjęcia, brak znajomych, zero postów i jakichkolwiek informacji, typowe fejkowe konto. Do tego nazwa nie identyfikująca płci: „VoX Populi”¹, chociaż biorąc od uwagę ekspresję wypowiedzi, głowę bym dała, że profil należał do kobiety.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie napisać wiadomości prywatnej, ale po zastanowieniu, zrobiłam tylko screena i jeszcze raz sprawdziłam pocztę. Znowu nic.

– Jak będę tu siedzieć to nigdy nie przyjdzie – mruknęłam wściekła. Na wszelki wypadek jeszcze raz odświeżyłam system i zamknęłam z trzaskiem laptopa. – Idziemy na spacer – sięgnęłam po smycz i gwizdnęłam na Nukę, która natychmiast zaczęła skakać z radości.

¹ *Vox populi*, Głos ludu (łac.).